ROZMAITOŚCI.

Dnia 21 lutego, Nr. 8. roku 1846.

ALIKA
CZYLI:
KORÓNKI ALENSOŃSKIE.

1. Otworzenie testamentu.

Byłoto w roku 1665tym, 20go sierpnia, w Bordeaux. Liczny tłum ludu cisnął się do bramy kościoła St. Seurin. Odprawiano tam uroczyste żałobne nabożeństwo za duszę niejakiego p. de Mauriac, który będąc młodszym synem rodziny, rzucił się był do handlu i przyszedł do znacznege majątku. Jak było słychać, zapisał on cały majątek swéj synowicy, pannie Alenson, ale ponieważ ona żadną miarą na to zezwolić nie chciała, aby otworzono testament, gdy jeszcze zwłoki jéj wuja, który od lat sześciu był jéj ojcem i dobrodziejem, niepogrzebione w domu leżały, przeto nie miano żadnéj pewności o rzeczywistéj treści jego ostatniéj woli.

Przeciw powszechnemu zwyczajowi szła Alika osobiście za ciałem, a że ukléknąwszy w kościele obok trunny zmarłego, łzami szczérego smutku się zalewała, więc tym żalem jakotéż i swoją pięknością ściągnęła mimowolnie na siebie uwagę całego zgromadzenia. Po skończoném nabożeństwie, wyniesiono z kościoła trunnę, a piękne oczy Aliki towarzyszyły jéj tak daleko, jak tylko zasięgnąć mogły. Gdy z widoku trunna zniknęła, wydobył się okropny wykrzyk boleści z piersi osieroconéj dziewicy, któréj żal głęboki odbił się szczérze we wszystkich sercach obecnych. Lecz wkrótce opamiętała się i spuściwszy na twarz welon żałobny, oczekiwała w modłach u stóp ołtarza, aż póki tłum ludzi się nie rozejdzie. W końcu została przy niéj tylko jakaś w podeszłym już wieku kobiéta, któréj ubiór bądźto wieśniaczkę z okolicy, bądź też dawną sługę domową znamionował. Ten ostatni wniosek zdawał się być najprawdopodobniejszym, widząc, z jaką staruszka nad osieroconą synowicą zmarłego czuwała.

„Pójdźmy, panno" — rzekła do Aliki, słysząc, iż na wieży kościelnéj szósta godzina bije. „Czas już powrócić do domu, nié ma tam nikogo, prócz Kadiszona, gapia do niczego, i maleńkiéj naszéj Rozalii. Nie mogę tu pannę samą zostawić, a bezemnie wiész dobrze, iż wszystko w domu bez ładu."

„Już teraz mniejsza o to, moja kochana Bilatone, gdy jego tam niéma!" ozwała się synowica pana Mauriac głęboko westchnąwszy; wstała jednak powoli zprzed ołtarza i opiérając się na ramieniu Bilatony, wyszła z kościoła. Świéże tchnienie wiéczora owiało jéj omdlałe siły, a wkrótce stanęły obie u progu małego, ale bardzo schludnego i ozdobnego domku, którego nowa budowa dziwnie od starożytnych arkad poblizkiego pałacu cesarza Galliena odbijała. Wokoło domku kwitnął bujny, różnobarwny ogródek, a u fórtki, którą Alika teraz odchyliła, powitała ją piękna, duża charcica, łasząca się radośnie i oglądająca się wokoło, jakby jeszcze kogoś ujrzéć pragnęła. Ten dowód tęsknoty niemego źwiérzęcia był tak przemawiający, iż się biédnéj Alice nanowo na płacz zebrało.

„Nie obaczysz go już więcéj, Dyjano" — ozwała się do charcicy, gdy wtém jakiś po wiejsku ubrany chłopak nadbieżał, i machając rękami w znak zadziwienia, zawołał:

„Aj, co się tam dzieje, co się tam dzieje!"

„Cóż tam się dzieje, Kadiszon" zapytała żywo stara towarzyszka Aliki.

„Ach cały dom pełny gości!" ozwał się chłopak, zastraszony surowym głosem Bilatony. „Są tam młodzi i starzy, panowie i panie, a wszyscy nazywają się Mauriac. O, Boże! Gdybyżto nasz pan wrócił! On zawsze mówił, iż panna jego jedyną krewną jesteś, a tu tyle ich przyszło!"

„I czegoż oni chcą" — zapytała Alika zadziwiona.

„Ach, chcą wszystko zabrać!" odrzekł Kadiszon. „Jeden powiada: ja wezmę to, drugi: a ja to, trzeci zaś.... Ale jużto panna sama obaczy."

Alika pobiegła szybko do salonu, gdzie nowoprzybyli goście się znajdowali.

„Zapewne panna Alika!" — wyrzekli wszyscy razem, obstępując dziewicę wokoło.

Alika skłoniła się, pobladła, i zatrwożona widokiem tych chciwie wokoło poglądających ludzi, musiała usiąść na chwilę, ażeby przyjść do siebie. Dopiero gdy sprawione jéj wnijściem milczenie przeminęło, zaczęła rozpoznawać pojedyńcze osoby i postrzegła naprzód jakiegoś słusznego, wychudłego mężczyznę ze szpadą przy bokn, i z stosowanym kapeluszem z piórem pod pachą. Rysy jego miały niejakie podobieństwo do wiszącego tamże portretu nieboszczyka pana Mauriac, lecz były oraz najwydatniejszym wyrazem głupoty i bezczelności. Za nim stało sześciu do siedmiu młodych mężczyzn, dość śmiałéj postawy, ale bez najmniejszego cienia szlachetności na twarzy. Opodal, w dużém, poręczowém krześle, siedziała albo raczéj leżała jakaś mała, sucha, wystrojona damulka, spozierająca z niewymowną dumą i wyniosłością na biédną Alikę. W ręce staréj strojnisi spoczywał elegancki wachlarzyk, którym ona od czasu do czasu z wcale niearystokratyczną wymuszonością się ochładzała, podczas gdy kwaśna, zniecierpliwiona mina jéj twarzy zdawała się żywą chętkę wyrażać, aby ów suchy, chudy mężczyzna raz już przecież się ozwał.

«Moja panno» rzekł tenże wreszcie, zwrócony do Aliki. — »Jestem margrabia de Mauriac, brat nieboszczyka.»

«A ja» — dodała dama z wachlarzem, odwracacając się od Aliki i niby poglądając na malowidło nad drzwiami — „jestem hrabina de Savigne, siostra nieboszczyka.»

„A my» — ozwali się młodzi — „jesteśmy jego synowce.»

Alika milczała; tajemne przeczucie powiadało jéj, iż jeszcze wcale inne rzeczy usłyszy.

„Zatém jestem tu teraz panem!» rzekł margrabia.

„A ja, panią! — ozwała się hrabina.

»Toż zapewne i nam się coś dostanie» — dodał jeden z synowców. »Ja i moi bracia reprezentujemy tu naszę matkę, która była siostrą zmarłego.»

»A ja i moi bracia» — rzekł drugi — „reprezentujemy naszego ojca, który był bratem nieboszczyka

»Prawo starszeństwa....» zaczął margrabia mówić, lecz w téj chwili zagłuszył go głos siostry i synowców, wołających: »Prawo starszeństwa nie ma żadnéj wagi w dziedziczeniu puścizny. Trzeba wezwać natychmiast notaryjusza, i wszystko opieczętować, a potém się okaże.»

„Opieczętować!» ozwała się Alika z zadziwieniem. »Opieczętować dom mego wuja!»

»Jest to teraz n a s z dom!» krzyknęli wszyscy razem.

„Ja państwa nie znam!» odrzekła Alika, ośmielona zniewagą, jaką ją ta scena przejmowała. »Nie znam ani was, moi panowie, ani ciebie, pani — nieznam nikogo.»

„Proszę!» zawołał szyderczo margrabia, zbliżażając się z wzgardliwą poufałością do Aliki. „Już my ci się damy poznać, moja mała. Na to są tytuły, rodowody, prawa.. podczas gdy ty, moja kochana, Bóg wié jakiém prawen tu jesteś!»

Ten poufały ton odjął do reszty trwogę Aliki i dodał jéj odwagi, jakiéj się sama po sobie nie spodziéwała. Spojrzała ze wzgardą na bezczelnika, który się nie wahał obrażać bezbronną dziewicę, i stanąwszy śmiało, jakby całemu towarzystwu przewodziła, rzekła:

„Jestem przybraną córką pańskiego brata, pańskiego stryja i wuja, jestem córką, którą on wychował, i która go pielęgnowała. Moja matka była wasza blizka krewna, moje państwo.»

„Adelajda» — zawołała hrabina pogardliwie — „Adelajda, która poszła za jakiegoś Alensona z Flandryi za mąż, i sklep utrzymywała — nie pamiętam już jaki, ale to wszysko jedno...»

»Na każdy wypadek jestem krewną pani» — odpowiedziała Alika obojętnie.

„Tak — tak» — rzekła hrabina niedbale — »jesteś naszą kuzynką *à la Bretonne*, co jednak dopiéro wtedy prawo do dziedzictwa-by ci dawało, gdyby nas na świecie nie było. Lecz w obecnych okolicznościach» — dodała obracając się do reszty towarzystwa — »szczęście żeśmy dość wcześnie przybyli; ta mała myśli doprawdy, iż jest tu w swym własnym domu. — No, powiédzże mi przecie, czyż mnie istotnie nie znasz?»

„Nie, pani, ani nawet z imienia» — odpowiedziała Alika, nie mogąc ukryć zniewagi, jaką ten sposób mówienia ją przenikał.

„Toż więc nieboszczyk Benjamin, nigdy o swojéj młodszéj siostrze nie wspominał?»

„Ani o swoim starszym bracie?» spytał margrabia.

„Ani o swoich synach, synach swojéj siostry, baronowéj de Soubrian?» — dodali młodzi.

»Ani o synach swego brata, hrabiego Mauriac?» ozwali się inni.

A na każde z tych pytań odpowiedziała Alika spojrzeniem, które zdawało się mówić ironijnie: »Są to imiona, które po raz piérwszy mam szczęście słyszeć.»

Spadkobiercy zaś zawołali wraz, chórem: »To dziwna. na prawdę to dziwna!»

„Jużto nié ma co mówić» — rzekł hrabia — „iż gdy Benjamin sławę naszéj familii znieważył, biorąc się do handlu, żaden z nas nie chciał nic z nim więcéj miéć do czynienia; cała rodzina wyrzekła się jego pamięci.»

Jeśli tak jest» — przejęła Alika — »więc cóż się państwo dziwicie, iż on, któregoście się wyrzekli,

o was też nie pamiętał; raczéjby dziwić się wypadało, iżeście go sobie teraz przypomnieli, i nie wiém po co tu przyszli.”

„Przyszliśmy po pieniądze moja mała, po pieniądze”— odpowiedział margrabia, zażywając tabaki.

»Po te pieniądze, które on w handlu zarobił?”— zapytała Alika z owém zimném spojrzeniem, które najwyższą wzgardę wyraża. — »W handlu, który sławę całéj rodziny znieważył?» dodała, wymawiając dobitnie każdą zgłoskę. „Zapewne nie dosłyszałam dobrze, panie margrabio.”

„Daj go katu!» zawołał margrabia z udaną wesołością, ukrywając starannie nieprzyjemne wrażenie, jakie te słowa dziewicy na nim sprawiły. „Daj go katu! Ta mała, jak widzę, ma języczek nie lada! Ale nie idzie tu o długie rozprawy, moja luba; nam potrzeba pieniędzy. Nie wiesz też czy mój brat jaki testament zrobił?»— zapytał z widoczną niespokojnością.

„Tak jest, panie margrabio” — odrzekła Alika natychmiast.

„Czy tak? Więc znasz panna zapewne treść jego?” ozwali się obecni.

»Wkrótce wszyscy się o niéj państwo dowiécie;” odpowiedziała Alika, witając jakąś nową osobę, która we drzwi salonu weszła.

Nowo przybyły byłto poważny mężczyzna, około lat sześćdziesięciu, odznaczający się ową spokojnością i uroczystością, jaka zwykła bywać skutkiem długoletniego zawodu notaryjusza. Nie zdziwiony bynajmniéj widokiem tylu osób w dość pustym zwykle salonie nieboszczyka, przystąpił najprzód do panny Alenson, skłonił się nizko, potém powitał obecne zgromadzenie, i dobywając jakiegoś pisma z kieszeni, rzekł:

„Bądźcie państwo łaskawi wysłuchać tu testamentu mego zmarłego przyjaciela pana Benjamina de Mauriac; odczytam go głośno w obecności wszystkich jego krewnych, jak sądzę.”

»Naprzód pozwól się pan zapytać” — ozwał się margrabia, — „Jakiém prawem masz ten testament w swoich ręku?”

„Jako notaryjusz, mój panie” — odpowiedział zapytany z ukłonem. »Nazywam się Castera.”

„Dobrze więc, słuchamy;” rzekł margrabia, siadając.

Za przykładem margrabiego pousiadali wszyscy obecni; pan Castera rozpieczętował wyjęty z kieszeni pakiet, złożył papiery na stole, i pokazując je towarzystwu, zapytał:

„Poznajecież państwo, pismo pana Banjamina de Mauriac?”

Wszyscy spojrzeli po kolei na pismo, i skinęli w milczeniu w znak potwierdzający.

Jedna tylko Alika zapłakała na widok pisma, skréślonego ręką osoby, którą szczérze kochała.

Pan Castera pocieszył ją dobrotliwém spojrzeniem, a potém rzekł:

„Cały testament jest pisany ręką testatora, i opiewa jak następuje:

„Jestem ostatnim potomkiem dawnéj szlacheckiéj i zamożnéj rodziny, a będąc młodszym synem, nie miałem praw do majątku. Po śmierci ojca odziedziczył brat mój, margrabia de Mauriac, jego dobra, tytuły i przywileje; mój drugi brat, hrabia de Mauriac, wstąpił do wojska, i poległ na polu sławy, zostawiając po sobie wdowę z dość znacznym własnym majątkiem, i nie wiém z ilą dziećmi; moje obiedwie siostry wyszły bogato za mąż, a ja, wychodząc ze szkół, otrzymałem od mego starszego brata roczną pensyją 1200 liwrów, zaś od reszty braci i sióstr przyrzeczenie, iż mogę zawsze znaleźć u nich miejsce przy stole, ile razy na obiad do nich przyjdę...”

»Za pozwoleniem, panie notaryjuszu” — przerwał margrabia, okazujący jawne oznaki niecierpliwości w czasie tego odczytu — „to nie testament lecz bijografija.”

Zamiast wszelkiéj odpowiedzi przedłożył mu pan Castera papiér, w którym testament był owinięty, a na którym stało wyraźnie:

„Należy otworzyć po mojéj śmierci i odczytać w obecności całéj zgromadzonéj rodziny.”

Poczém jął czytać daléj:

„To trwało tak przez cztéry miesiące, aż póki mojéj rocznéj pensyi nie przeżyłem. Nakoniec nie mając już ani grosza przy duszy, chciałem zaciągnąć pożyczkę u krewnych. Nie odmówiono mi jéj wprawdzie, lecz zarazem dano mi radę, abym ten sposób życia porzucił, i albo do wojska lub do zakonu wstąpił. Nie miałem chęci ani do jednego, ani do drugiego z tych stanów, a nie chcąc być ani złym żołnierzem, ani złym księdzem, udałem się do mego brata z prośbą o wypłacenie mi od razu całego kapitału wyznaczonéj corocznéj pensyi, abym był w stanie rozpocząć jaki handel i nie naprzykrzać się więcéj rodzinie. Margrabia przysłał mi żądaną sumę, oświadczając jednak stanowczo, iż jeźli handlu się chwycę, tedy cała rodzina nic o mnie wiedzieć nie chce, i nigdy mnie u siebie nie przyjmie.”

„I dotrzymaliśmy też słowa;” rzekli wszyscy obecni.

„Przyjąłem tę wiadomość” — czytał notaryjusz daléj — »z głębokim bolem, lecz nie czując żadnego powołania do zalecanych mi stanów, a nie widząc innego sposobu zapewnienia sobie przyszłości, musiałem być wiernym powziętemu raz przedsięwzięciu mojemu; odzwyczaiwszy się zaś z czasem od rodziny, zapomniałem ją zwolna, i myślałem już o niéj, jak o

zmarłych osobach, które się niegdy kochało... Mnogie odtąd lata upłynęły. Bóg pobłogosławił pracy mojéj i obsypał mię dostatkami. Nie dość na tém, uczynił on jeszcze więcéj dla mnie... Pewna kuzynka, któréj mi tylko moje początkowe ubostwo poślubić nie dozwalało, a która tymczasem za niejakiego d'Alenson do Flandryi za mąż poszła, doniosła mi przed swoją śmiercią, iż swoje jedyne dziecię opiece mojéj porucza. Objąłem z radością tę drogą puściznę, i takto weszła do mego domu Alika, anioł dobroci i cierpliwości, która mię jak swego ojca kochała.”

—„Mamyż teraz bijografii panny Aliki słuchać?„ wtrącił margrabia, udając jakby się wstrzymywał od ziewania.

Pan Castera spojrzał surowo na niego, i czytał dobitnym głosem daléj:

»Téjże Alice, córce mojéj kuzyny de Pichon i Piotra d'Alenson, zapisuję cały mój ruchomy i nieruchomy majątek, wszystko co tylko w godzinie śmierci posiadam, jakoteż późniéj posiadać mógłbym, tudzież i pieniądze w gotowiźnie, znajdujące się u mego przyjaciela Castera, w sumie 300.000 talarów. — Zaś mojemu bratu Franciszkowi, margrabiemu de Mauriac, w dowód, iż nie mam żadnego gniewu do niego, zapisuję 1000 liwrów, które mają być od razu wypłacone, a każdéj z moich sióstr lub ich dzieciom po sto talarów. Egzekutorem tegoż testamentu mianuję mojego przyjaciela Henryka Heguet Castera, notaryjusza, w którego ręku niniejszy testament się znajduje, i proszę go przyjąć odemnie w pamiątkę mój mały dworek na przedmieściu des Bassens; a wreszcie polecam Alice, ludzi, którzy u mnie służyli.

Pisałem z mojéj własnéj woli, przy zupełnie zdrowéj duszy i zdrowém ciele, w Bordeaux, dnia 1 lutego 1662.

Benjamin de Mauriac. Kupiec.”

Po odczytaniu testamentu nastąpiło głębokie milczenie. Byłoto jednak milczenie, jakie zwykło poprzedzać gwałtowną burzę. Każdy mierzył mściwym okiem szczęśliwą dziedziczkę, która wszakże nie troszcząc się ani o dziedzictwo ani o zawiść krewnych, siedziała na boku i płakała. Lecz to nie długo trwało. Wkrótce wybuchnął gniew powszechny, wyrażający się najprzód w krótkich urwanych słowach:

„Szkaradnie! Niegodziwie! Nie do pojęcia!”

Alika zerwała się przestraszona i przybliżyła się instynktowo ku notaryjuszowi.

„Cóżto znaczy?” zapytała z trwogą przyjaciela swojego wuja.

„Co to znaczy?” powtórzył margrabia grzmiącym głosem, który całą powstającą teraz wrzawę przygłuszył. — „Znaczy to nikczemny podstęp, wyłudzenie testamentu, na które, dzięki Bogu, znajdzie się jeszcze sprawiedliwość, moja panno, — znajdą się sądy, ktore ci znowuż odbiorą, coś sobie tak niegodnym sposobem przywłaszczyła.

„Podstęp — wyłudzenie — sądy!” mówiła Alika zwolna, lecz mocno zatrwożona, nie rozumiąc wcale, co margrabia chciał przez to powiedzieć.

»Tak jest, wyłudzenie testamentu!” ozwali się wszyscy chorem.

Pan Castera wstał niespokojny.

„Moje państwo” rzekł do nich. „Miotacie tu niegodziwą potwarz na niewinną dziewicę.”

„I owszem, powtarzam, jestto wyłudzenie testamentu!” krzyczał margrabia coraz głośniéj. „My-to jesteśmy właściwymi spadkobiercami w prostéj linii — my! — Jedyną boczną krewną jest ta panna, ona wszystko zabiéra: więc albo mój brat nie był przy zdrowych zmysłach, a wtedy cały testament nieważny, albo ta panna chytrością go podeszła — co na jedno wychodzi.”

»Mój Boże!” ozwała się Alika ze drzeniem, zwracając się do pana Castera. — „Cóż tu się dzieje?”

Notaryjusz odpowiedział ponurym głosem, jak kiedy lekarz choremu blizką śmierć zapowiada:

»Moje dziecię, obwiniają cię o najpodlejszą zbrodnię, jaką pod słońcem popełnić można — o zbrodnią szkaradniejszą od jawnego rozboju — o to, żeś pod pozorem troskliwości nadużyła w niegodziwy sposób przywiązania swojego wuja, któregoś jedynie z téj przyczyny pielęgnować miała, aby ci swój majątek zapisał.”

„Nie inaczéj — nie inaczéj!” zatwierdzili obecni krewni mowę notaryjusza, która im się zupełnie podobała, a w ciągu któréj Alika spokojnie łzy otarła, i w uczuciu zapoznanéj cnoty hardo swoję piękną głowę w górę podniosła.

»Ja!” zawołała — »ja, któréj nigdy żadna myśl nieprawa w duszy nie postała!... Ale nie byłażem zresztą jego przybraną córką, i nie wolnoż mu było czynić co mu się podobało?”

„Zapewne że miał to prawo” — odrzekł żywo notaryjusz — „i użył swego prawa. Bo tenże brat, ta siostra, ci synowcowie, czy też raz kiedy w życiu do niego przyszli? Czyliż go raczéj nie odepchnęli od siebie, i zdala go nie unikali? Zaledwie go czasem na ulicy widzieli, podczas kiedy ty, moje kochane dziecię, pielęgnowałaś go z poświęceniem mu najprzód swoich zabaw dziecinnych, późniéj wszelkich uciech młodości.”

„Nie ma co mówić!” ozwała się siostra nieboszczyka, wachlując się coraz bardziéj, jakby się jéj gorąco w ciągu mowy notaryjusza zrobiło. — „Plan zręcznie ułożony! Umiała przedziwnie celu dopiąć panna Alika!”

Ten zarzut zabolał żywo dziewicę. Rzuciwszy

smutnym wzrokiem na hrabinę, która ją tak głęboko uraziła, przybrała postać spokojną i rzekła łagodnie do swego czcigodnego przyjaciela:

»A bez tegoż testamentu, nie miałażbym żadnego prawa do majątku, idącego w równy podział?»

»A to wybornie!» zaśmiał się jeden z synowców. »Na równy podział! Ona się z nami na równi stawia, nie będąc nawet i w drugim stopniu z nami spokrewnioną.»

„Czyż to prawda, co oni tam mówią?» spytała Alika notaryjusza, „Więc bez tego testamentu.» —

„Bez testamentu nicbyś pani nie otrzymała» rzekł notaryjusz. »Ale to niepotrzebne pytanie; gdyż testament jest prawny i sprawiedliwy.»

„Czy sprawiedliwy» — przejął margrabia — „to później obaczymy.» Tymczasem jako brat nieboszczyka każę tu wszystko opieczętować, a przeciw téj pannie skargę wytoczę.»

»Skargę!» powtórzyła Alika, mierząc margrabiego wzgardliwym wzrokiem. „Czegoż pan żądasz ode mnie?»

»Żądam aby testament za nieważny uznanym został. Żądam sprawiedliwości, która nam się należy.»

„Sprawiedliwości» — ozwała się piękna dziewica z uśmiechem pełnym goryczy „Nie masz pan innéj sprawiedliwości ani innego prawa, prócz tego, jakie ja mu przyznam. Co zaś do unieważnienia testamentu, tedy bądź pan łaskaw, panie Castera, pozwolić mi go na chwilę.» To rzekłszy wzięła notaryjuszowi z rąk testament i przystąpiła z nim do kominka, na którym się właśnie drewka paliły.

»Cóż ty chcesz robić, moje dziecię!» zawołał notaryjusz, przybiegając do Aliki, któréj myśl teraz pojął.

»Chcę wypełnić powinność moję»— odpowiedziała Alika smutno i wrzuciła testament w ogień.

„Ależ to znaczy sprzeciwiać się woli swojego zmarłego wuja!» rzekł notaryjusz, chcąc wydrzeć płomieniom tę kosztowną pastwę.

„Nie, mój czcigodny przyjacielu,» ozwała się Alika, stawając w przeszkodę notaryjuszowi, i przypatrując się, jak płomienie papiér prędko chłonęły. “Gdyby nie ja, sameś pan to wyrzekł, tedy byliby ci najbliżsi krewni jedynémi spadkobiercami; gdyby nie zbytnie przywiązanie pana de Mauriac do mnie, tedyby i tego testamentu nie było..»

Poczém obróciła się do obecnych krewnych zmarłego, którzy oniemieni tym niepojętym dla nich czynem, nie wiedzieli, czy są na jawie czy we śnie, i spoglądając na nich po kolei, przemówiła z rzewnym żalem: „I cóż pani hrabino, byłaż moja troskliwość dla brata pani skutkiem mego samolubstwa? cóż, panie margrabio, czy maszże jeszcze jakie żądanie do biednéj, młodéj dziewczyny, która ubogą do tego domu weszła, i takąż go opuszcza, zabierając z sobą tylko błogosławieństwo tego, który teraz jest w niebie, błogosławieństwo, którego mi państwo zapewne nie zazdrościcie, nie prawdaż? O, mój wuju i dobrodzieju mój, przebacz, jeźli twojéj ostatniéj woli posłuszną być nie mogę, lecz lepiéj cierpieć nędzę, niż odziedziczać majątek śród takich okoliczności.»

„Biédna, uboga!» zawołał pan Castera zakrywając sobie w boleści zroszone łzami oblicze. „Cóżeś uczyniła, i cóż ci teraz pozostaje!»

„Bóg!» rzekła zcicha dziewica.

»Wierzaj pani» ozwał sią teraz margrabia, zmieniając nagle ton mowy, i kłaniając się uprzejmie przed ubogą dziewczyną, która w téj chwili o tyle spanialszą i szlachetniejszą od niego się wydała. ”Wierzaj, iż gdybyś kiedy naszéj pomocy potrzebowała...»

Zimne spojrzenie Aliki przerwało mu dalszą mowę. Również i hrabina chciała coś do niéj przemówić, ale toż samo lodowe spojrzenie zmusiło ją do milczenia. Poświęciwszy tak wszystko dla ocalenia się od zarzucanego podstępu, ujęła Alika pana Castera pod rękę i wyszła z nim z salonu i z domu. W jedyną zaś nagrodę za tak wielką ofiarę, w jedyną pamiątkę tego drogiego dotąd przybytku, uszczknęła sobie w przechodzie przez ogródek rószczkę z kwitnącego geranijum, które było ulubionym krzewem jéj wuja.

Wychodząc na ulicę usłyszała za sobą żałośne skomlenie, które ją do głębi serca wzruszyło, gdyż byłoto skomlenie Dyjany, ulubionéj charcicy jéj wuja.

„Więc jest ktoś przecież, co tu za mną żałować będzie!» — zawołała w boleści, i nie mogąc podołać gwałtownemu żalowi, padła zemdlona w objęcia pana Castera, który kazał przywołać szybko ludzi z lektyką i zaprowadził Alikę do swojego mieszkania.

(Dokończenie nastąpi.)

Recepta na zamknięcie salonu.

Za czasów cesarstwa zdarzyło się w Paryżu, iż w jednym z salonów przedmieścia St. Germain zbyt wiele o polityce rozprawiano. Już kilkokrotnie otrzymywał cesarz przez swoję prywatną policyję nieprzyjemne doniesienia o tym domu. Pewnego razu, wyczytawszy świéże sprawozdanie, rzekł do ministra policyi, który właśnie wszedł do gabinetu:

„Fouché, u pani de ..... bywają wieczory, gdzie nieprzyzwoicie o rządzie mówią. Wiem o tém z pewnością.»— ”Sire, u którejż-to z owych dam?»— spytał Fouché, ”gdyż jest ich dwie: u księżnéj czy u hrabiny?»

„U téj, która przy ulicy St. Dominique mieszka. Ale wieszto pan lepiéj ode mnie, bo, jak słychać, bywasz tam co tydzień u niéj, i sam nawet u siebie ją przyjmujesz.»

»To prawda, sire» — odrzekł Fouché z swoją zwyczajną przytomnością. Jestto hrabina, a wasza ces. mość masz zupełną słuszność.»

Cesarz spojrzał zdziwiony na ministra.

»Czy mam słuszność? Tam do licha! a jużci, że mam słuszność kiedy tak mówię. Ale pan masz niesłuszność, iż nie wiesz, co się u pani de .... dzieje. Niech sobie o strojach i balach gada, bardzo dobrze! Lecz, aby w moje postępowanie rządowe wglądała, to sobie raz na zawsze wypraszam; i jeszcze raz panu powiadam, iż nie powinieneś był tego tak długo obojętnie cierpieć.»

»Sire, ależ jakże to pięknej damie zabronić, ażeby nie gadała, a ...»

»O strojach — nikt jéj nie broni;» — przerwał Napoleon z gniewem — ale o polityce — niech to zaniecha. Zresztą, rób co ci się podoba, ale jeżeli jeszcze raz coś podobnego o tym salonie usłyszę, tedy odpowiesz mi za to, to panu naprzód powiadam.»

„Ha" — odrzekł Fouché złośliwie. — „W takim razie nie widzę innego środka, aby panią de .... do milczenia przymusić, jak tylko zmusić ją do zamknięcia salonu.»

»Środki mnie nie obchodzą. Powiedziałem panu jak się rzecz ma, i sam mi to przyznajesz, że mam słuszność. Rób sobie więc, co ci się podoba. Wtém twoja, nie moja, sprawa. A teraz mówmy o czém innem.»

W kilka dni po tej scenie spotkał Fouché w Tuileryjach margrabinę de ...., kuzynkę owéj hrabiny. Po zwykłém powitaniu, rzekł minister:

»Zdaje mi się, pani margrabino, iż jéj godny małżonek bywa często na wieczorach u pani de ...., jéj przyjaciołki, i jeżli się nie mylę, jéj kuzynki?»

»Tak jest, *monseigneur*, bywa dość często."

„Otoż powiedz mu pani" — ozwał się zcicha minister — „aby tego więcéj nie robił."

»Jakto? Miałożby...»

„Ja tego wcale nie mówię... ja, pani margrabino, o niczém nie wiém, i niczego nie mówię, wyraźnie to oświadczam. O jedno tylko panię proszę, aby jéj mąż, który jest bardzo zacnym człowiekiem, i którego ja wielce poważam, miał się na ostrożności, gdy idzie do hrabiny. Najlepiéjby jednak zrobił, gdyby wcale nie chodził »

„Więc miałażby hrabina być płatną przez pana?»

»Mój Boże, pani margrabino, jam tego wcale nie mówił »

»Więc z pańskiéjto kasy opędza się ów zbytek, który tam w domu panuje!»

„Powtarzam pani raz jeszcze, iż ani słowa o tém nie powiedziałem; i proszę panią owszem dochować mi tajemnicy. Mówię to z panią, nie jako minister, lecz jako jéj przyjaciel, a gdyby się przypadkiem wydarzyło, iżby to, co tu pani w zaufaniu powierzam, daléj się od niéj rozniosło, tedy musiałbym wszelkie wyniknąć ztąd mogące komentarze jedynie pani przypisać, a zatém — proszę o tajemnicę.»

„Przyrzekam panu najświęciéj! Ach, ci obrzydli ludzie! Nigdy już noga nasza w ich doma nie postanie.»

„Będzie to témci lepiéj dla państwa. Zresztą bądź pani margrabina zawsze o mojém najgłębszém uszanowaniu przekonaną.»

Poczém skłonił się minister z wcale arystokratyczną miną i odszedł.

Powierzona tajemnica padła na bujną rolę. Jeszcze tegoż samego wieczora przeszła ona do tajnéj wiadomości pół tuzina zaufanych przyjaciół, którzy, rozumié się, znowuż najświętsze milczenie ślubowali, i toż samo milczenie od kilkunastu nowych wtajemniczonych osób wymogli, aż wreszcie w dwudziestu czterech godzinach cały wielki świat paryzki o tajemnicy wiedział. Na przyszłym wieczorze u pani hrabiny de .... nie było żywéj duszy.

We dwa tygodnie, wychodząc z jednéj z lóż na proscenijum teatru francuzkiego, zdybał Fouché hrabinę de ...., która bez ceremonii prosto do niego przystąpiła i w głos z niechęcią rzekła:

»Mój panie, kazałeś rozgłosić, iż jestem płatną przez policyję — to jest nikczemność!»

»*Madame*»— odpowiedział minister z affektowaną urazą, a mówił umyślnie głośniéj niż zwykle, aby wszyscy obecni to słyszéć mogli. »Nigdy w mojém życiu nie powiedziałem, abyś pani przez policyję płatną być miała. Zresztą, gdyby w istocie nawet tak było, znam zanadto moję powinność, aby coś podobnego rozgłaszać.»

Takie zajście osławiło raz na zawsze salon hrabiny. Musiała go zamknąć i wyjechała na wieś. Tego też pragnął najgoręcéj minister.

Po niejakim czasie był Fouché u cesarza, i spytał go czy nie ma jakich nowych doniesień o salonie hrabiny.»

„Wszakże ona już od kilku tygodni nie przyjmuje nikogo"— odrzekł cesarz.

„Tak jest, sire, i wyjechała nawet z Paryża."

»Tak, tak, słyszałem o tém.»

A po chwili spytał Napoleon:

»A jakżeś tego dokazał? Radbym wiedziéć.»

»Racz sire przebaczyć, ale jestto mój sekret. Gdybym waszéj ces. mości to powiedział, natenczas mógłbyś się obejść bezemnie, a doprawdy...»

»Teraz masz pan słuszność» — odrzekł cesarz z uśmiechem, powtarzając z złośliwym przyciskiem owe niegdyś przez ministra użyte słowa— „Nie chcę w konkurencyję z panem wchodzić; obajbyśmy na tém stracili »

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* T. W. Kochańskiego wyszedł nr. 7my i zawiéra: 1) Sprawozdanie z dziewiątego zgromadzenia niemieckich gospodarzy, odbytego w Wrocławiu na dniu 8mym września r. z. (Dokończenie.) 2) Sposob Dra. Welz ratowania ziemniaków, potwierdzony. 3) Dalszy ciąg moich doświadczeń w leczeniu zarazy na bydło teraz panującéj, a w roku zeszłym z Rossyi, Besarabii i Wołoszczyzny wprowadzonéj, przez Haliczanina. 4) O wystawie płodów przemysłowości w Wiédniu. Przez Józefa Żywickiego. (Ciąg dalszy.) 5) Wiadomości handlowe.

Z Warszawy. *Biblijoteka warszawska* na miesiąc luty zawiéra: 1) Dawne żupy i żupnicy w Polsce, przez Hier. Łabęckiego. 2) Pamiętniki szlachcica z czasów Jana Sobieskiego przez A. Kosińskiego. (Ciąg dalszy). 3) Rzut oka na dzieje botaniki i na stosunek jéj do innych umiejętności przyrodzonych, przez T. Chałubińskiego. 4) Słówko o postępie nauki prawa litewskiego z rzutem oka na dzieła Czackiego i Jaroszewicza, przez W. A. Maciejowskiego. 5) O ubezpieczeniach na przypadek choroby i śmierci, przez A. Branda. 6) Uwagi nad kodeksem handlowym, przez J. C. Sławianowskiego. 7) Kronika literacka — zagraniczna — bibliograficzna.— Rozmaitości.— Doniesienia literackie. — Od Redakcyi Biblijoteki Warszaws iéj podane warunki dla autora powieści na przeznaczoną nagrodę. — Dostrzeżenia meteorologiczne.

Rozpisanie nagrody za najlepszą powieść polską. Redakcyja »*Biblijoteki Warszawskiej*« ogłosiła warunki do spółubiegania się o nagrodę za napisanie najlepszéj powieści, wyznaczoną w sumie złp. 1000 przez p. Aug. Cieszkowskiego. Za należące do współubiegania się przyjęte będą tylko powieści: 1od, napisane w języku polskim; po 2re, osnowane na miejscowości krajowéj; po 3cie, złożone w Redakcyi »*Biblijoteki Warszawskiej*« najpóźniéj do dnia 1go maja r. 1847 włącznie; po 4te, opatrzone godłem témsamém na tytule co i na osobnym opieczętowanym liście, zawiérać mającym imię, nazwisko, i mieszkanie autora, jakoteż oświadczenie jego, czyli wrazie przyznania nagrody waruje sobie zachowanie bezimienności. — Do wyznaczonéj przez pana Cieszkowskiego nagrody doda Redakcyja autorowi powieści za najlepszą uznanéj, za każdy arkusz druku po złp. 60, i prócz tego 500 egzemplarzy téjże powieści jéj kosztem odbitych; wreszcie zostawi mu prawo rozrządzenia dziełem swojém po ukończeniu ogłoszenia jego w »*Biblijotece Warszawskiéj.*« Nagroda wypłaconą zostanie zaraz po jéj przyznaniu i po rozpoczęciu druku nagrodzonéj powieści w »*Biblijotece Warszawskiéj*,« do czego termin zakreśla Redakcyja na dniu 1go sierpnia 1847. Nie będzie mogła otrzymać nagrody powieść obejmująca mniéj niż 5 arkuszy druku.

Roślina długiego życia. Odkryto nową roślinę czarodziejską! Nie wydaje ona wprawdzie ani kwiatów, ani owoców do jedzenia, a jest przecież bezsprzecznie najkosztowniejszą, najpiękniejszą rośliną świata— ojczyzną jéj Chiny, nazwa jéj Jenson.— Znajdujący się przy missyjach katolickich w Manczuryi i Koreas wikaryjusz apostolski Veroles opisuje cudowne przymioty téj tonicznéj, to jest nerwy pokrzepiającéj rośliny w następujące słowa: »Gdy już wszelkie siły żywotne chorego są wyczerpane, a chwila śmierci się zbliża, wtedy zadać mu tylko kilka ziarnek Jensenu, a umierający wróci nazad do życia. Należy powtarzać to codziennie, a tym sposobem pokrzepią się siły chorego do tego stopnia, iż jeszcze kilka miesięcy żyć może. Lecz ten cudowny środek przedłużania ludzkiego życia jest już oddawna w cesarski monopol obrócony, a przeto bardzo drogi. Chociaż to się bajką być zdaje, przecież jestto niezawodną prawdą, iż 1 funt Jensenu prawie 500 franków kosztuje. Roślina ta może być także w ogrodach hodowaną, wszakże za najdoskonalszą uznają Chińczycy ją wtedy, gdy zdawiendawna dziko rośnie. Ztąd Jensen, który uprawiają w Korei, nie posiada ani setnéj części téj skuteczności. Na rocznych jarmarkach w Korei bywa Jensen tajemnie sprzedawany, o czém Mandarynowie dobrze wiedzą, lubo na to przez szpary patrzą, a raczéj wcale nie patrzą. Cena Jesenu Korejskiego jest nieco niższą, ztémwszystkiém kosztuje i tam 1 funt około 200 franków. Można siać tę roślinę, a skoro kilka ziarnek dostanę, poszlę je do Europy, aby je tam rozmnożono. W północnéj Manczuryi Jensen nie rośnie, a to zapewne wskutek nadzwyczajnego zimna, jakie tam zwykle panuje. Przeszłą zimę spędziłem w Leatong, mieście, leżącém pod 40 stopniem szérokości. Jestto stopień szerokości Neapolu i Madrytu, a przecież mieliśmy po 26 stopni mrozu, chociaż jak mieszkańcy twierdzili, zima wtedy jeszcze bardzo łagodną była. W przecięciu więc dochodzą tu mrozy zazwyczaj do 30 stopni i równają się przeto klimatowi Moskwy.» — Z tych ostatnich uwag można wnosić, iż uprawa Jensenu w niektórych okolicach Europy żadnéjby nie podlegała trudności. Obyśmy tylko prędko w posiadanie téj cudotwornéj rośliny przyszli!

Kraina Oregonu graniczy na wschód z górami skalnémi — *Rocky Mountains* — mającémi około 800 angielskich, to jest około 200 geograficznych mil rozległości; na południe ciągnie się ta kraina 300 mil wzdłuż gór śnieżnych, na zachód 700 mil wzdłuż oceanu cichego, na północ 250 mil wzdłuż północno-amerykańskich posiadłości Rossyi i Anglii. Cała przestrzeń téj ogromnéj doliny zawiéra 360.000 angielskich mil kwadratowych — to jest siedm razy tyle ile państwo Newyork a cztérdzieści razy tyle co państwo Massachussets mil liczy. Niektóre z wysp przybrzeżnych są nadzwyczajnéj wielkości i mogą same dla siebie osobne państwo stanowić. Między témi wyspa Vancouvre ma 200 mil angielskich długości, 50 szérokości a 12.000 mil kwadratowych powierzchni — a zatem więcéj niż Massachssets i Connecticut. Również i wyspa »*Queen Charlotte*« czyli »Washingtona« liczy 100 mil angielskich długości, 30 szérokości a 4000 przestrzeni.

Styczeń w r. 1846. Dziennik »*Worcester Herald*« donosi o styczniowéj pogodzie w Anglii: »Dotąd nie zapamiętamy tak łagodnéj zimy jak tegoroczna. Mamy tu temperaturę majową, wyjąwszy iż powietrze jest nieco gęste i nieelastyczne i ciężko na piersi spadające. W państwie roślinném panuje tak żywy ruch, jakby zima już przeminęła. Kluczyki, pierwiosnki i inne kwiatki wiosenne kwitną obficie w polu, a w jednym z sadów Worcesterskich stoją cztéry grusze w zupełnym kwiecie; na jednéj już nawet owoce się zawiązują. Również i ptaki zjawiły się już jak w podleciu; kosy parzą się, wrony budują sobie gniazda, a nietoperze uganiają się żwawo w ciemności.... Młoda pszeniczka rośnie nadzwyczaj bujnie.» — Dzienniki paryzkie donoszą: »Temperatura obecna jest ciągle tak łagodna, iż znany kasztan 30

marca w ogrodzie Tuileryjów już pąki rozwijać zaczyna, a w niektórych ku południowi położonych, a dostatecznie od wiatru północnego ochronionych ogrodach drzewa migdałowe zakwitły. Najstarsi ogrodnicy nie mogą sobie tak łagodnej zimy i tak wczesnego rozwinięcia się roślinności przypomnieć.» W dzienniku »*Ami de l'ordre*» z dnia 26go stycznia czytamy: »Pomiędzy wszystkiemi dziwnémi zjawiskami wegetacyi, jakie tegoroczna pogoda zimowa wywołuje, mało jest tak nadzwyczajnych jak następne, o którém nas pewien abonent z departamentu Charleroi zawiadamia: »Przed ośmią dniami wybrano w ogrodzie zamkowym w G... dość sporą wiązkę najpyszniejszych szparagów. Odtąd park tameczny dostarcza ich w obfitości. W tymże samym ogrodzie zbierają tak zwane »wieczne» poziomki, jakby w najpiękniejszych dniach listopada.» — Podług »Gazety Kolońskiéj» znaleziono w Euliwaler na polu żywego i bardzo żwawego chrząszcza.

Horacy Vernet otrzymał był rozkaz odmalowania ostatniéj bitwy w Algierze. Dla tém trafniejszego ugrupowania obrazu, wezwał sławny malarz kilkunastu żołnierzy do siebie i kazał im się w jednę malowniczą grupę ustawić. Pomiędzy przybyłymi był także sierzant V., którego Vernet znał osobiście. Po skończeniu obrazu przyszła matka sierzanta, aby się portretowi syna przypatrzyć. Malarz odsłonił obraz, a biedna matka nie mogła się nacieszyć widokiem odmalowanego syna, aż w końcu ciężko westchnęła. »Dlaczegoż pani wzdychasz?» zapytał malarz. »Ach, czyż pan nie wiesz»— odpowie matka — »jak walecznym mój syn jest, a przecież — nie ma krzyża.»— »Bądź pani spokojna»— ozwie się malarz — »będzie on go miał wkrótce. Poczém odprowadził staruszkę do drzwi, a sam wziął pędzel, umoczył go w czerwoną farbę i kilkukrotnem pociągnieniem, wymalował swemu znajomemu krzyż legii honorowéj na piersiach. — Za kilka dni chciał król Ludwik Filip widzieć obraz i wszedł w towarzystwie z ministrem wojny do pracowni malarza. Ledwie minister wzrokiem na obraz rzucił, już zaraz ta ozdoba go zadziwiła, i rzekł: »Pan Vernet pomylił się. Ten sierzant nie ma krzyża.» — »Jeśli tak, tedy poprawię natychmiast tę pomyłkę. Jedno pociągnięcie pędzlem...» — O, nie» — zatrzymał król malarza, sięgającego już po pędzel. »Szkoda psuć tak piękne malowidło.» — I jeszcze tegoż samego wieczora został sierzant kawalerem legii honorowéj.

Pytania i odpowiedzi. Dla czego ziemniaki teraz tak nędznie giną? Ponieważ ich od lat wielu wszelkiego duchu, to jest spirytusu pozbawiono. — Dla czego wszyscy na nowy rok jałmużnę rozdawają? Ponieważ to tylko raz w rok się dzieje? — Dla czego potrzeba świadków przy zaślubieniu? Ponieważ ludzie zbyt często o ślubie zapominają. — Zkąd pochodzi iż Hollendrzy najmniej dowcipu mają? Ponieważ wszelka ich sól na przyprawienie śledzi zużytą bywa. — Dla czego u Niemców, inaczéj niż w innych językach, »słońce» rodzaju żeńskiego, »księżyc» zaś jest rodzaju męzkiego? Ponieważ u nich żona, słońce, musi iść wczas na spoczynek, podczas gdy mąż, księżyc, do późna w nocy przy kuflu siedzi lub po ulicach się włóczy.— Co za różnica między kostką do grania a piękną kobietą? — Iż kostka tylko wtedy coś wygrać może, kiedy najwięcéj ócz ma, zaś piękna kobieta dwoma tylko—wszystko wygrywa. — Jaki jest największy dziw w naturze? Iż między rybami nawet samiczki milczą.

Plaga okrętowa. »Nasi żeglarze» — donosi Antwerpski dziennik handlowy — »przywożą nieraz z swoich dalekich podróży niemiłych towarzyszy, z którymi w dobrem porozumieniu żyć muszą, jeźli się na tysiączne nieprzyjemności, a mianowicie na uszkodzenie ładunku okrętowego wystawić nie chcą. Ci nieproszeni spólnicy i niebezpieczni rabusie są to — szczury. Każdy okręt miewa zwykle dość znaczny kontyngens szczurów, których chcąc niechcąc musi obficie żywić, bo skoro im zabraknie wody, tedy wiercą dziury w okręcie, a jeźli co jeść nie mają, tedy żrą towary ładunkowe. Dopiero po wylądowaniu okrętu, można im sprawę wytoczyć i jeżeli nie zupełnie, to przynajmniej w części ich wygubić. Przedsięwzięte niedawno na jednym z naszych okrętów polowanie na szczury może dać wyobrażenie, jak dalece one ludności okrętowéj dokuczać muszą. Pozatykano wszystkie luki i starano się zapaloną siarką wszystkie szczury wytępić. Ubito tym sposobem — 4043 sztuk.»

Pogorzenie sławnéj bożnicy w Awinijonie. W ostatnich dniach listopada r. z, stała się zbudowana przed 54cią laty bożnica żydowska w Awinijonie, wraz ze wszystkiemi znajdującemi się w niéj ruchomościami, pastwą płomieni. Materyjalną stratę cenią na 55.000 franków, lecz nierównie więcéj utraciła gmina żydowska, i można powiedzieć cały świat izraelski, spłonieniem świętych pisem, które miały być nieocenionéj wartości. Przechowywany tam niegdyś zbiór ustaw (sepher-tora) składał się z 42 zwojów pargaminowych, i należał przeto do najbogatszych w świecie. Jak wiadomo zawierają te ustawy cały ręką pisany Pentateuch, któryto rękopism tym jest kosztowniejszy, iż on przez samych rabinów, i tylko w jednéj Jerozolimie wykonanym być może. Po całych tedy latach siedzą rabinowie tamże nad témi rękopismami, gdyż najdrobniejsza pomyłka, najlżejsze wyskrobanie, lub inny podobny najmniéjznaczący usterek, jak np. niejednostajność kilku pisanych głosek, są dostatecznym powodem, aby cała praca w niwec poszła, i na nowo rozpoczętą być musiała.

Wyobrażenia barona Rotszylda z Paryża o majątku. Pewien bankier z prowincyi, należący do przedsiębierstwa, w którém Rotszyld znaczny miał udział, zaliczył ze swojéj strony milijon franków i mniemał przeto miéć prawo oponowania w niejednym razie wszechwładnemu królowi giełdy, przyczém nie omieszkał nigdy nadmienić o swoim milijonie. Nareszcie jednak sprzykrzyło się to baronowi Rotszyldowi, i obróciwszy się tedy żywo do swego rywala, rzekł mu z najprościejszą miną w świecie: »Ale dajże nam pan raz pokój z tym swoim lichym milijonem!»— Innego razu, przy śmierci również sławnego potentata giełdy, Aguado — »Jako!» zawołał baron Rotszyld — »Aguado nie zostawił więcéj niż 60 milijonów! Nie myślałem wcale iż on taki chudy pachołek!»

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Frańciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.